Cena 40 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 2 (7). Warszawa, czwartek dnia 14 stycznia 1937 r. Rok II.

WYCHOWANIE PAŃSTWOWE

Wychowanie — ta podstawa wszystkich kultur ludzkich, najpotężniejszy środek rządzenia duszami, tak świadomie i misternie używany przez jezuitów w ciągu wieków, a dziś rozdygotany motor działalności państw dynamicznych: — u nas jeszcze jest niedoceniane w jego intensywnych i naprawdę wielkich przejawach. U nas stawia się jeszcze na wychowanie tak mało, jakgdyby chodziło o wpojenie w wychowanków starego „dobrego tonu" szlachecko-ziemiańskiego lub drobnomieszczańskiego.

Wychowanie na serio i poważnie traktowane było u nas jedynie za czasów Komisji Edukacyjnej, która rozumiała to słowo w całej jego politycznej, a więc i państwowej wartości.

Nie potrzebujemy rozwodzić się nad tym, że ważność kulturalną i psychiczną wychowania doceniali u nas zawsze w całej pełni jezuici i kler, którzy używali tego środka do ubezpieczenia i ugruntowania swych wpływów politycznych.

W mniejszym stopniu zrozumiały u nas wagę wychowania zarówno „prawicowe" jak i „lewicowe" partie polityczne, które, chociaż przemycają ubocznymi ścieżkami swoje „trzy grosze" do wychowania, jednak ani jedne, ani drugie nie prowadziły nigdy polityki wychowawczej ściśle określonej, pozytywnej, programowej, ograniczając się do podjazdowej i sporadycznej negacji. Uderzają one stale tylko na pewne strony programów szkolnych, czy też stosunków pedagogicznych w szkolnictwie i wśród młodzieży.

W wyniku tego społeczeństwo polskie, jako ogół, dotychczas nie rozumie wymowy XVIII wieku, nie wie, że wychowanie klerykalne przyczyniło się ongiś do upadku Rzeczypospolitej, narzucając jej obywatelom idee apaństwowe.

Współcześni państwowcy polscy z tym większą bezwzględnością muszą nalegać na pełne przejęcie sprawy wychowania przez państwo z całkowitym usunięciem wszystkich innych czynników, wygrywających domenę wychowania dla swych celów partyjnych, grupowych, a jakże często sprzecznych z interesem państwa.

My, państwowcy, nie łudzimy się ani przez chwilę, że to przejęcie wychowania przez państwo będzie rzeczą łatwą. Wiemy, że będzie to jedna z najcięższych walk w historii wewnętrznych zmagań się o wydobycie się Polski z marazmu, bierności i ogólnego nieuctwa. Musimy stoczyć walkę z biernością i niedorozwojem politycznym naszego społeczeństwa, które nie przejawia odrobiny zrozumienia dla konieczności ugruntowania wychowania państwowego, jako koniecznej podstawy wszystkich wysiłków, zawartych w terminie „obrona państwa".

W tym terminie kryje się cały imperatyw przestawienia naszego wychowania na nowe tory, jeśli chcemy na wysokim poziomie tę obronność postawić, gdyż zarówno psychiczna postawa jak i umiejętności obywatela nabyte w szkołach różnych szczebli i typów, składają się na całość obronności państwowej, która nie daje się przetłumaczyć na żadne inne wyniki działalności wychowawczych, prowadzonych przez różne grupy społeczne z klerem i międzynarodówką socjalistyczną na czele.

Musimy tedy zająć się *wizją* wychowania państwowego, nawiązując jedynie do dwóch elementów tego wychowania, dziś realnie istniejących i pełniących ten ciężki trud — wychowania politycznego społeczeństwa.

Te dwa elementy — to wojsko, jako szkoła rozumienia spraw, związanych z obroną państwa, i nauczyciel ludowy, uczący dzieci i podrastającą młodzież całokształtu zagadnień i wielkości państwa polskiego.

Wojsko — to bezpośrednie obcowanie ze sprawami, związanymi z potęgą militarną, jako gwarantką suwerenności państwa;

Wojsko — to szkoła charakterów, honoru i podporządkowania wszystkich spraw społecznych potrzebom obrony państwa, a więc i nadrzędności państwa;

Wojsko — to szkolenie myśli państwowej przez bezpośrednią „wizję wojny", a więc przygotowanie się do egzaminu dojrzałości politycznej;

Wojsko wreszcie — to szkoła uczącaześrodkowania całej uwagi na sprawach najważniejszych; dopasowania wszystkich wysiłków do jednego celu.

Nauczyciel ludowy z racji swej funkcji musi być tak samo państwowcem jak oficer i podoficer w armii.

W szkole, jak w armii przepływa ciągły strumień ludzki; strumień ten przechodzi przez określony system organizacyjny i wychowawczy, który urabia kolejne zastępy młodzieży w sposób z góry ustalony.

Funkcje zarówno oficera i podoficera liniowego, jak i nauczyciela ludowego są naogół ściśle określone i niezbyt skomplikowane.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy przeciwstawimy powyższe funkcje skomplikowanym funkcjom oficerów dyplomowanych (sztabowych) w porównaniu z liniowymi z jednej strony, a skomplikowane funkcje wychowawczo-nauczające nauczyciela szkoły średniej w porównaniu z nauczycielem ludowym. Skomplikowania te są natury zarówno ilościowej co do zakresu zagadnień, jak i jakościowej ze względu na poziom i pogłębienie realizacji tych zagadnień.

Otóż wychowanie i nauczanie żołnierza i dziecka w szkole początkowej ogranicza się do zagadnień zasadniczych, wiążących się z potrzebami państwa; w armii — dla celów militarnych, w szkole początkowej — dla celów, ustalających zasadniczy stosunek każdego obywatela do swego państwa.

Wychowanie w armii dąży do stworzenia typu żołnierza, świadomego potrzeby walki o swe państwo, w szkole początkowej urobienie duszy dziecka, jako przyszłego pracownika, gotowego do czynu i ofiary na rzecz swego państwa.

Niezależnie od stopnia osobistych uzdolnień, jak również niedociągnięć, spowodowanych zewnętrznymi warunkami, każdy oficer i podoficer jak i nauczyciel ludowy jest nastawiony na to, że wychowanie ludzkiego strumienia, powierzonego ich pieczy, jest ich pierwszym obowiązkiem, w przeciwieństwie do dzisiejszej szkoły średniej w Polsce, a także i wyższych zakładów naukowych, gdzie panowie wykładowcy uważają się raczej za reprezentantów „wiedzy", a nie za odpowiedzialnych wychowawców.

Stąd rzucający się w oczy dodatni wpływ wychowawcy szkoły początkowej w znaczeniu państwowym, stąd często problematyczna wartość szkoły średniej i wyższej, szczególnie prywatnej.

Nauczyciel ludowy jest wszędzie otoczony szacunkiem i uznaniem; u nas jest niestety, narażony na nacisk ze strony czynników nie państwowych. Jego zasadnicza postawa równa postawie liniowych oficerów i podoficerów zawodowych — nie znajduje często u władz tego oparcia i zabezpieczenia, co armia. Społeczeństwo zaś, coraz widoczniej ujawniające swój głęboki sentyment i uznanie dla armii — nie rozumie, nie docenia i nie szanuje nauczyciela ludowego w stopniu odpowiadającym wadze jego pracy.

Ciągłe i powielokroć niesłuszne ataki na nauczycielstwo ludowe, nie służą podniesieniu szacunku społeczeństwa dla roli nauczycieli ludowych, spełniających funkcje czysto państwowe.

Zmusza się nauczycielstwo ludowe do spełniania czynności innych, niż wyłącznie państwowe, zmusza się ich do podporządkowania celom grup społecznych i czynnikom nie państwowym.

Podobieństwo służby państwowej w armii i szkole winno być zawsze drogowskazem dla oceny wszelkich ingerencyj pozapaństwowych na pracę nauczyciela ludowego, który od powstania państwa polskiego spełniał swe zadania najlepiej ze wszystkich powołanych do służby cywilnych funkcjonariuszy państwowych.

Jeśli czego pragnąć należy, to tego, żeby i nauczycielstwo szkół średnich i wyższych doprowadzić do takiego samego stanu służenia wyłącznie państwu polskiemu, jak to pojmuje i spełnia wbrew wszystkim i wszystkiemu nauczyciel ludowy w Polsce.

ZAGADNIENIE CHWILI BIEŻĄCEJ*)

Były czasy, kiedy walczono namiętnie o jedną literę, wchodzącą w zakres najwyższych pojęć filozoficznych (sprawa arianizmu), były czasy, kiedy zwalczano się bezlitośnie o sprawę „Istota“ czy „Symbol“, a każdy — nawet niepiśmienny — chciał zrozumieć i ocenić naukę o Sakramentach.

Były również niekończące się niemal czasy, kiedy prowadzono walkę o stanowisko i zadania państwa, przyczym conajmniej od XI do XVI wieku dominował problem „państwo a kościół“, wraz z zagadnieniem cesarz, papież, a inne państwa chrześcijańskie. Gdy minął ten okres walk z zakresu teorii o państwie, względnie gdy jeden jaskrawy aspekt sprawy, jak to się dzisiaj mówi, ustąpił w cień, wystąpiło zagadnienie „przyrodzonych praw“ i „Dei gratia“ monarchy, a „wrodzonych praw“ do wolności człowieka, wraz z całym kompleksem wzajemnego stosunku państwa, władcy i społeczeństwa. Wiek XIX skoncentrował się na zagadnieniach „państwo a społeczeństwo“, mając swój odpowiednik we wszystkich poglądach liberalnych.

Dziś spór wieku XX toczy się w praktyce o system i cele władzy w państwie, co zwie się, o ile chodzi o system, walką tendencji autorytatywnych z parlamentaryzmem, a niewłaściwie czy jednostronnie, bo pod wpływem dwustronnej zgodnej propagandy, „walką faszyzmu z bolszewizmem“, o ile chodzi o cele władzy. W teorii jednak prawno-politycznej a w związku z praktycznie toczącymi się bojami, myśl ludzka tego XX wieku biedzi się już nad problemem nowym, bieżącym, bo nad zagadnieniem stosunku państwa do narodu i odwrotnie. Obecnie bowiem — jak ongiś „państwo a kościół“ — zagadnienie „państwo a naród“ stało się sprawą nawskroś konkretną i praktyczną, obchodzącą każdego poszczególnego człowieka, nawet nietylko Europejczyka. Nie wolno bowiem o tym nawet zapominać, że gdy z jednej strony krwawią sobie ludzie o te zagadnienia głowy w Europie, to tam gdzieś daleko w Japonii ginie jakiś prof. Minobe właśnie z powodu takich, czy innych poglądów z zakresu prawa publicznego.

W zagadnieniu tym, w swej istotnej podstawie tak dawnym, jak powstanie zorganizowanych społeczeństw, nie jest rzeczą najważniejszą sprawa terminu, problem właściwej definicji pojęć, nad czym myśl ludzka męczy się świadomie już od przeszło dwóch tysięcy lat, ale uchwycenie widoczne, przejrzyste i *zrozumiałe dla każdego człowieka* stosunku narodu do państwa, względnie państwa do narodu. Nie mamy zamiaru obciążania obecnych przynajmniej wywodów cytatami odpowiedniej literatury, przy której trzebaby sięgnąć przynajmniej do Arystotelesa. Pole do chociażby najbardziej sumarycznych ocen dotychczasowego dorobku ludzkiego w tym zakresie będzie odpowiedniejsze w dalszym ciągu przy omawianiu definicji państwa i narodu. Na tym miejscu wystarczy skonstatowanie faktu, że dążenie do nowych teorii i nowych koncepcji prawno-politycznych jest tylko zupełnie zrozumiałym poszukiwaniem nowych rozwiązań naukowych dla zupełnie nowych sytuacji. Skoro nietylko Europa, ale i świat cały, zamknęły swoją ostatnią epokę na okresie historycznym między Kongresem Wiedeńskim z 1815, a Kongresem Paryskim z 1919, powstała potrzeba nietylko nowych państw, ale nowych teorii prawno-politycznych, przesuwających wagę problemów na zagadnienia chwili bieżącej...

Istotną rzeczą jest dla nas wszystkich w Polsce to, że te ogólno-ludzkie dylematy są w chwili obecnej może najbardziej aktualne u nas. Jedynym, co może być gorszym od takiego stanu, to jest brak takich konfliktów prawno - politycznych, jak np. w Czechosłowacji, gdzie ludzie nie próbują, czy nie chcą „martwić się teoretycznie“ nad swą rzeczywistością. By użyć paradoksalnego porównania, jedyną rzeczą, któraby była gorszą od obecnego chaosu teorii politycznych w Polsce — byłby brak tego chaosu, tak jak bezrobocie jest zawsze cięższe od pracy w najgorszych warunkach. Dlatego nie wahamy się określić, jako objawu nawskroś dodatniego, że szczególnie z rokiem 1936 troska o własną polską teorię polityczną, kryjąca się przed tym w poszczególnych mózgach stała się jakby zagadnieniem ogólnej potrzeby. Jak długo tam po Belwederze chodził Marszałek Piłsudski lub kładł swe pasjanse, to niezależnie od takich, czy innych walk publicystycznych, „naród“, w tym znaczeniu tego słowa, jak go używa potocznie nasz lud, t. j. ta wielka żyjąca masa polska, wiedział, że on o tym myśli i on wie, gdzie jest słuszne, racjonalne rozwiązanie. „Naród“ czuł, mimo tych wszystkich najohydniejszych oszczerstw i wyzwisk, jakie w imię „służby narodowej“ na głowę Naczelnika Państwa spadały, że przecież Marszałek Piłsudski najlepiej się orientuje, jaki rodzaj służby jest wskazany, by pracować „dla tej Polski“, której dobra chcą przecież wszyscy Polacy. Obecnie „naród“, w sensie ogółu deliberującego o Polsce domaga się uzasadnienia, teorii, czy odpowiedzi, *dlaczego* należy dziś działać tak, a nie inaczej.

Poprzedni bowiem stan rzeczy wystarczał chociażby dlatego, że przez długie okresy, przytym z roku na rok, był on poparty genialnie trafnym, a praktycznym rozwiązaniem przez Marszałka, nasuwających się sytuacji. Przeciętny więc, a zdrowo myślący Polak znajdował naocznie i przynajmniej raz za razem, dowód, że w granicach możliwości państwa polskiego — jesteśmy na właściwej drodze. Dziś pozostał nam nietylko dorobek polityczny Marszałka Piłsudskiego, ale pozostały także w jego działalności i pismach wskazania, jak w zasadzie sprawę rozstrzygnąć. Pozostał nam reflektor, rozbijający jednokierunkowo ciemności komplikacji politycznych, ale już zrodziło się z natury rzeczy pytanie czysto teoretyczne, ale bardzo podstawowe i niemal konieczne dla każdego Polaka, a mianowicie, *dlaczego ta droga była i jest słuszna.* W czym tkwi ten mechanizm słusznego rozstrzygania, „jaką politykę w Polsce uprawiać“, względnie jaką teorią uzasadnić świadomość, posiadaną jednak przez większość rozumujących ludzi w Polsce, że nie wystarczy dla celów i potrzeb tej Polski tylko tak popłynąć po fluktach rzeczy, które są nietylko najpopularniejsze na tej politycznej „ulicy“ życia polskiego, ale także swymi hasłami najbardziej trafiają do serc większości polskiej.

Obecnie bowiem ogół polski łamie się, rozbija i plącze wśród bieżących trudności rozumowania właśnie z dobrych, dodatnich motywów. Dziś ideowy członek narodu polskiego i obywatel państwa polskiego wie tylko jedno, bez cienia wątpliwości i bez potrzeby argumentacji a mianowicie, że wszyscy mamy pracować dla Polski. Jest to niewątpliwie hasło, na którym się wszyscy, bez względu na grupy i kierunki, w Polsce podpiszą, oczywiście poza tymi, którzy świadomie chcą Polskę rozsadzić i zgubić. Ta powszechna zgoda na to jedno hasło jest niezaprzeczenie całą dumą naszego odrodzenia psychicznego w XIX wieku, ale ona właśnie jest zarazem podstawą i powodem tych wszystkich dylematów, które stawia wiek XX przed Polakami po roku 1918. Po tej bowiem zgodzie wszystkich Polaków na to jedno zasadnicze hasło, usłyszymy zaraz potym, zarówno w rozmowach poszczególnych jednostek, jak też dowiemy się z rozmaitych programów politycznych, czy nawet podręczników naukowych, że ta Polska — według jednych — to Polacy, według drugich zaś — to państwo polskie. *Rozbieżność więc zaczyna się już przy pierwszym słowie*, już przy pierwszej próbie interpretacji tego łączącego wszystkich hasła. Wobec tego praktycznie, realnie pozostaje na pobojowisku życia politycznego zasada: „wszystko dla Polski“, zasada niewzruszalna, niewątpliwa, przepiękna, ale w istocie rzeczy *nieprzynosząca żadnych wskazań dla zagadnień politycznych chwili.* By użyć jaskrawego, czy brutalnego przykładu ze zdarzeń i sytuacji obecnych, przepiękna ta zasada „wszystko dla Polski“ łączy szczerze i uczciwie, — u nikogo bowiem nie kwestjonujemy jego intencji polskich, — tego, co bije szyby, czy przechodniów i burzy spokój z pieśnią narodową na ustach, z

*) Wyjątki z książki p. t. „**Naród a państwo jako zagadnienie Polski**“, która niebawem ukaże się w druku.

tym, który go za to ściga, aresztuje i potępia.

Niewątpliwie można by bez nowej teorii znaleźć racjonalne rozwiązanie na ten powyższy dylemat i dać słuszne rozwiązania. Jeśli na te zasadnicze zagadnienia odpowiada w programowym artykule „Gazeta Polska" (19. I. 1936), że wskaźnikiem właściwej drogi jest wyczucie interesu państwa, a interes państwa tkwi w „interesie całości", jako we wskaźniku naczelnym, to niewątpliwie odpowiedź ta jest zarówno merytorycznie słuszna, jak też jest spostrzeżeniem prawno-politycznym, które od geniuszu Arystotelesowskiego umysłu ciągnie się nieprzerwanie aż po najnowsze rozumowania z tego zakresu, np. H. Kelsena („Allgem. Staatslehre"; r. 1925). Słuszność jednak wskazywania politycznie właściwej drog., sama przez się nie wystarczy w praktyce jeśli nie wciągnie równocześnie do działania i w rozliczenie motywów czynnika emocjonalnego, który zwie się uczuciem patriotycznym. Powiedzmy bowiem sobie wobec tych wszystkich dylematów i trudności prosto i szczerze, że jeśli chodzi o przemówienie teorią do ogółu polskiego, to nie wystarczy tylko zażądać zasady nadrzędności interesu państwowego, ale trzeba jeszcze z podstawowym uwzględnieniem sentymentu czysto i *wyłącznie polskiego* udowodnić, że tego rodzaju nakaz jest rzeczywiście nadrzędnym i naczelnym. Nie chowajmy bowiem, — nawet przy najbardziej teoretycznych i prawno-politycznych rozważaniach— strusim sposobem głowy w piasek przed rzeczywistością nastrojów polskiego narodu! Normalne serce polskie bije silniej — zresztą w zgodzie z nastrojami XX wieku Europy — na słowo „jestem Polakiem", niż na słowo „jestem obywatelem polskim". Tylko takie rozumowanie, tylko taka teoria może liczyć na drogę do ogółu polskiego, która poza prawną argumentacją rzeczową znajdzie równocześnie drogę do tego żywszego tętna serca przy słowie „jestem Polakiem".

W tym faktycznym i nieodwołalnym stanie rzeczy tkwi trudność, dlaczego żadne argumenty z zakresu teorii XIX wieku o naczelnym „samym w sobie" celu własnego państwa, takie czy inne przeróbki heglowskie, ani też takie czy inne nawoływania „liberalne", „postępowe", „humanitarne", czy jak kto je zechce nazwać, nie są w stanie opanować z całą siłą nastrojów polskiej inteligencji, która z natury rzeczy i z kolei pierwszeństwa myśli decyduje o nastrojach całego narodu...

Nie mamy zamiaru, ani możności przechodzenia na tym miejscu wszystkich powodów, dla których *tętno serca polskiego rozchodzi się z natężeniem polskiej myśli*, ani też wyliczać motywów, dla których w tych niezliczonych wypowiedzeniach się polskiej publicystyki wszystkich kierunków nie ma jasnego przedziału i rozróżnienia w zakresie punktów spornych zagadnienia „naród a państwo".

Obok ogólniejszych powodów, oddzielny rozdział z zakresu niewykonanych w ostatnich dziesięciu latach prac, stanowi sprawa chaosu na temat „naród a państwo" w naszej publicystyce i literaturze politycznej. Nie można bowiem stwierdzić o tej całej bibliotece prac, rozpraw i rozważań, że spełniła ona niewzruszalnie słuszny nakaz myśli scholastycznej: „qui bene distinguit bene docet" (kto dobrze odróżnia, dobrze uczy). Polska myśl polityczna, bez względu na to, jakie kierunki reprezentowała, nie rozróżniała tych obydwóch pojęć „naród" i „państwo" między sobą z konieczną i przystępną dla każdego przeciętnego człowieka wyrazistością. Dlatego nie można też powiedzieć, że spełniła ona wobec ogółu swą rolę pedagogiczną, skoro dziś nawet czysto teoretyczny chaos poglądów w Polsce z tego właśnie zakresu jest poprostu bezgraniczny! Krzyżują się słowa, terminy, pojęcia, przyczym naprawdę przeciętny człowiek w Polsce nie wie, dlaczego to przedtym, *jeszcze tak niedawno*, ten termin „państwo" był zawsze na pierwszym miejscu każdego wypowiedzenia się, a teraz dla odmiany właśnie ten termin „naród". Nie wie on też dalej, któremu z tych pojęć właściwie to pierwsze miejsce przysługuje, względnie dlaczego powinno tak bezwzględnie przysługiwać. Zwolennicy nakazów naszej państwowości uważają przytym za konieczne asekurowanie się przy każdej okazji również na słowo, czy termin „naród", gdyż oczywiście ani nie są, ani nie chcą uchodzić za jakichś „antynarodowców". Dla odmiany, czy z drugiej strony, ta część myślących Polaków, która z tych, czy innych powodów, najczęściej jednak przez brak uświadomienia i brak tego zdrowego scholastycznego rozróżnienia rzeczy, wysuwa na czoło hasło i nakazy interesu narodowego, asekuruje się równocześnie zapobiegliwie na słowo, czy termin „państwo", nie jest bowiem ani „antypaństwowa" w uświadomionej zasadzie, ani też nie chce znaleźć się pod uwidocznionym zarzutem tendencji antypaństwowych.

Niepodobna przytaczać ilustrujących ten stan rzeczy cytatów, których, chociażby z ostatnich lat dziesięciu, jest wprost bez miary. Ta podwójna bowiem asekuracja, raz z jednej, a raz z drugiej strony, wypływa według naszego wewnętrznego przekonania ze szczerych trudności ludzi, zresztą często o całkiem przeciwnych przekonaniach politycznych, a nie jest bynajmniej jakąś grą dyktowaną publicystyczną ostrożnością. Przytoczę tylko najbardziej głośne, czy charakterystyczne przykłady. Tak niedawno w programowej mowie ś. p. redaktor W. Stpiczyński („Kurier Poranny" 17. 1. 1936) rzucił zasadę: „celem naczelnym polityki polskiej jest dobro narodu polskiego, honor i moc Rzeczypospolitej", a dla odmiany również niedawno temu St. Grabski, jako szermierz Narodowej Demokracji, czy Stronnictwa Narodowego, stwierdził w swym „Państwie Narodowym" (Lwów, 1929, str. 75): „We własnym naszym państwie polityka wszystkich dobrych, kochających ojczyznę Polaków, musi być polityką państwową. Jest to aksjomat niepodlegający dyskusji". Otóż nie wątpię, że bez trudu znalazłbym w pismach St. Grabskiego tezę W. Stpiczyńskiego, jako naczelną, najwyższą zasadę, i odwrotnie w pismach W. Stpiczyńskiego tezę St. Grabskiego, gdyż w zasadzie był szermierzem „polityki państwowej". Nikt zaś chyba nie spróbuje stwierdzić, jakoby między opiniowaniem o słuszności polityki polskiej St. Grabskiego a W. Stpiczyńskiego nie było zupełnie diametralnych przeciwieństw. Łatwo byłoby udowodnić cytatami, że St. Grabski — to „państwowiec", a W. Stpiczyński — to „narodowiec", a następnie ten proceder wykazywania etykiet, czy nomenklatur wręcz naopak, niż ogół danych publicystów lub polityków określa, można by zastosować do olbrzymiej większości podobnych zasadniczych wypowiedzeń się. Jest więc zupełnie zrozumiałe, że przy takim systemie nierozróżniania ścisłego każdego z powyższych pojęć i przy używaniu ich bez jasnego uświadomienia sobie różnicy funkcji każdego z tych pojęć, rzucamy sobie w Polsce oddawna nawzajem zarzuty „antynarodowości" i „antypaństwowości", właściwie każdorazowa tylko w dobrym zaufaniu do efektów wobec swych czytelników, czy słuchaczy! Odpowiednie jednak używanie pojęć narodu i państwa nie jest tylko grą i walką słów, bo *w nich tkwi istota i podstawa* osądzania tego, co jest „sprawdzianem dobrego i złego" w dziejach i polityce każdego państwa i narodu, przy czym stawiam jako autor np. w tym miejscu państwo na pierwszym miejscu poprostu dlatego, że dla historycznych rozważań państwo jest tworem starszym, niż naród. Jeśli bowiem nie rozróżnimy w każdym wypadku dokładnie tych dwóch pojęć, jeśli sobie nie uświadomimy dokładnie ich różnych i rozbieżnych funkcji, to wprowadzimy w teorię prawno-polityczną, a następnie w ideologię polityczną, zwykłą żonglerką słów, dostosowaną do nastrojów chwili i widoków popytu, czy poklasku politycznego.

Nie chcę cytować dalszych przykładów z tego zakresu, z których by można stworzyć całą barwną i raz za razem między sobą sprzeczną antologię wyjątków, gdybyśmy się nawet tylko ograniczyli do literatury z zakresu teorii politycznych ostatnich lat dziesięciu w Polsce. Np. niedawno powstająca partia polityczna rzuciła jako hasło naczelne zasadę: „przez naród do państwa". Bardzo słusznie i pięknie, ale czy nie można by rzucić to hasło tak wręcz odwrotnie: „przez państwo do narodu", jako apel do podnoszenia narodu zapomocą środków państwowych. Nie wątpię, że takie hasło bardzo by się nawet podobało i mogło stanowić rodzaj programu. Inna zaś np. grupa rzuca hasło „państwo, naród, lud to jedno", ale to chyba dlatego, że są to właśnie trzy zupełnie różne pojęcia, każde o innych funkcjach i o innych celach. Raz za razem bowiem wyczuwa się, czytając te liczne hasła i rzucane w przestrzeń zasady, że ich autorzy czują tę nieodporną konieczność jakiegoś ustosunkowania się do tych naczelnych pojęć, ale stają przed niemożnością ich ścisłego rozgraniczenia, dlatego też z konieczności starają się je wrzucić możliwie wszystkie razem, do tego tygla programu ideologicznego, zwanego — dla ułatwienia sobie sprawy — „narodowo-państwowym", lub „państwowo-narodowym".

Czyż więc na tle takiego stanu rzeczy można się dziwić, że ludzie czynu i pracy nie chcą już wogóle wchodzić w te rozważania o narodzie i państwie, i w rzekomą czy istotną treść tych haseł, wychodząc z założenia, że konkretne ich obowiązki wobec Polski nie pozwalają na zagłębianie się w podobne spory, a wyczucie rzeczywistości wskazuje im właściwą drogę. Niewątpliwie dla działania praktycznego wystarcza najzupełniej wyczucie rzeczywistych potrzeb i nakazów tej Polski, jako takiej. Ideologiczne jednak wychowanie myślenia narodowego wymaga przecież bezwzględnie teorii wzajemnego stosunku narodu i państwa i to takiej teorii, która uzasadni sama siebie logiką rozumowania i empiryzmem całych dziejów ludzkości.

Bez chęci i możności szerszego prezentowania czytelnikowi przykładów posługiwania się terminami „naród" i „państwo", bez dokładnego rozgraniczenia ich treści i funkcji, muszę się jednak jeszcze zająć jednym terminem dominującym w naszym myśleniu politycznym, t. j. t. zw. „polską racją stanu". W zasadzie powtarza się przy wskazywaniu Polakom, jako naczelnej, regulującej wszystko zasady, tej właśnie „polskiej racji stanu", ten sam stan rzeczy, jaki wykazałem wyżej przy haśle „Polska ponad wszystko". Niewątpliwie wszyscy w Polsce godzą się na ten naczelny termin, czy słowo, zwane „polską racją stanu", skoro podpisuje się nań np. w tymże samym roku 1922 zarówno St. Bukowiecki („Polityka Polski Niepodległej" str. 13), jak imieniem Narodowej Demokracji jego zdecydowany, teoretyczny przeciwnik J. Bartoszewicz („Przegląd Wszechpolski" str. 327). Jest tylko ta zasadnicza różnica, że przez tę, zgodnie przez całą Polskę głoszoną, „polską rację stanu", pierwszy rozumie interes państwowy, a drugi — interes narodowy! Jednym słowem, wygłosiwszy tę samą zasadę, a raczej ten sam termin, *faktycznie myśleli obydwaj pod danym terminem całkiem coś innego, w każdym szczególe praktyki działania.* Ponownie bowiem jak przy terminach „naród" i „państwo", moglibyśmy stworzyć całą antologię wypisów z naszej literatury politycznej, z której

wyniknęłoby, że ta zgodnie przyjęta „polska racja stanu" jest podstawą nakazów politycznych dla zupełnie sprzecznych, przeciwnych i nawzajem się wprost wykluczających decyzji politycznych. Niewątpliwie też taka antologia o „polskiej racji stanu" w literaturze i publicystyce politycznej przyniosłaby cały szereg przykładów popadania raz w tautologię, a raz w antynomię, a to gdy się mówi i pisze w Polsce o „państwowej racji stanu" (t. j. o „ragione di stato" „Staatsräson"), czyli „raison d'état", z „état" powtórzonym niewiadomo poco dwa razy, lub o „narodowej racji stanu", co jest dla nas samochodem, rozpędzonym równocześnie w dwóch kierunkach.

Nie będziemy powiększali balastu tych przykładów teoretycznych nieporozumień we wszystkich niemal dziedzinach naszej myśli politycznej, a obracających się koło zadań państwa i narodu, oraz nakazów „polskiej racji stanu". Już bowiem na tle tych ilustracyjnych niejako obserwacji jasnym jest dla każdego, że konieczne jest nietylko, czy nietyle, wypowiedzenie się za nadrzędnością państwa nad narodem, czy narodu nad państwem, względnie interesów państwowych nad narodowymi, lub odwrotnie, ile wykazanie i udowodnienie, *dlaczego* ktoś jedno, lub drugie, czy też jedne, lub drugie uważa raz za nadrzędne, a raz za podrzędne. Oczywiście ta konieczność nie zachodziłaby, gdyby dało się ludzi przekonać, jak to próbuje ogólnie, a bez argumentacji, zasugerować umysłom mniej wyrobionym nacjonalistyczna myśl polityczna, że państwo i naród — to jedno i to samo, a interes narodowy i państwowy to również jedno i to samo, gdyż dopiero bardziej myślowo wyrobionym mówi się z tego stanowiska, że „państwo to jest forma, w której żyje naród". Tymczasem bez znajomości filozofii prawa i bez potrzeby wywodów naukowych, każdy człowiek rozumie, że np. tylko naród turecki, a nie państwo, może się krzywić lub cieszyć z cenzurowania słowa Allach w dziennikach tureckich, a dla odmiany kontrakt o monopol spirytusowy można zawrzeć z państwem tureckim, a nie z narodem tureckim. Sądzimy więc, że wystarczy narazie powiedzieć bez dalszych dowodów (to co widzi i rozumie każde myślące dziecko, każdy przechodzień uliczny), że na swej drodze codziennego życia spotykamy się na każdym kroku raz z objawami bytu państwa i objawami jego interesów a raz z objawami bytu narodu i nakazami jego interesów. Niepodobna bowiem dzisiaj, zwłaszcza w Polsce, przeżyć jednego dnia codziennego, by nie zetknąć się raz z przejawami istnienia państwa, a za chwilę z przejawami istnienia narodu! Jest to zresztą tylko dygresja w sferę dalszych rozważań, mająca zamknąć ostatecznie dla każdego zrozumiałe skonstatowanie, że musimy sobie zdać jasno sprawę nietylko z treści tych obydwóch pojęć „naród" i „państwo", ale przede wszystkim z ich wzajemnego do siebie stosunku. Wszystkie zaś te uwagi razem wystarczą na proste, szczere i końcowe stwierdzenie, że nasza myśl polityczna nie ma w swej dyspozycji jasnego, wyraźnego i dla każdego zrozumiałego rozróżnienia narodu i państwa, ich funkcji, a zwłaszcza wzajemnego stosunku ich interesów.

Jest to stan zupełnie naturalny i zrozumiały, chociażby przez fakt, że takiego rozwiązania nie posiada również nauka i myśl polityczna — europejska!

SKRZYDŁA NIEMIECKIE

Od trzech lat istnienia ustroju hitlerowskiego Niemcy wyrównały swoje siły zbrojne do stanu przedwojennego, przy czym ich wyposażenie techniczne stoi o niebo wyżej. Czołg, samolot, bomba gazowa stały się poszukiwanymi przedmiotami pierwszej potrzeby. Ciągła, planowa propaganda prowadzona przez ministerstwo dr. Goebbelsa wytwarza prawdziwą psychozę wojenną, dozbrojenie traktowane jako kwestia życia i śmierci: jest prowadzone w tempie intensywnym.

Na plan pierwszy wysuwa się lotnictwo. Nie darmo lotnik z wielkiej wojny H. Göring piastuje naczelne stanowisko w rządzie. W 1934 rzucił on realizowane w szybkim tempie hasło: Niemcy narodem lotników.

Trudno jest ściśle określić siły lotnicze Niemiec. To co wiemy — to strzępki informacji przedostających się do prasy, jakieś nieopatrzne słówka dygnitarzy hitlerowskich, względnie rzeczy publikowane przez państwa obce. Ale te ostatnie niewiele wiedzą. Oto przykład charakterystyczny.

W końcu 1934 r. na interpelacje w Izbie Gmin, Baldwin odpowiedział, że nie jest rzeczą prawdopodobną, aby do końca 1935 r. siły powietrzne Niemiec przekroczyły 50% lotnictwa angielskiego. Tymczasem już w marcu 1935 r. angielski minister lotnictwa mówił, że Niemcy dawno przekroczyły ten poziom, a w 3 tygodnie później Hitler oświadczył Sir Simonowi, że Rzesza zrównała się pod względem lotniczego stanu posiadania z Anglią. Trudno przypuszczać, by w ciągu miesiąca zdołano podwoić flotę powietrzną.

Nic dziwnego, że wobec takiego braku prawdziwych wiadomości, jedni mówią o zbrojeniach Niemiec jako o bezpodstawnej, wyssanej z palca legendzie, gdy inni obliczają ilość samolotów na dziesiątki tysięcy i całe Niemcy wyobrażają sobie jako fabrykę narzędzi śmiercionośnych.

Niedocenianie niemieckiej potęgi lotniczej nawet wśród fachowców, płynie często stąd, że na wystawach międzynarodowych Niemcy nie bardzo się chwalą swymi osiągnięciami. Po pokoju Wersalskim Niemcy były bądź co bądź rozbrojone, a nadzór aliantów nie pozwalał na przeprowadzanie badań technicznych. Nie sposób też przypuścić, by w ciągu 2 lat potrafiono nadrobić czas stracony. Załóżmy, że istotnie kontrola aliantów była ścisła, ale cóż z tego, gdy już wkrótce po wojnie nie było czego kontrolować. Wielkie firmy lotnicze wyniosły się po prostu, przynajmniej częściowo, za granicę, tworząc filie w krajach neutralnych. **Henkel** budował spokojnie w Szwecji bombowce, **Rohrbach** stał się na odmianę duński, **Albatros** zainstalował się w Kłajpedzie, a **Fokker** wrócił z powrotem na łono swej ojczyzny — Holandii.

Zagranicą, lecz przy pomocy niemieckiego inżyniera, a nawet robotnika, przy przeważającym udziale niemieckiego kapitału, opracowywano nowe konstrukcje samolotów wojskowych, przeprowadzano doświadczenia z wyrzutnikami bomb, synchronizacją karabinów maszynowych, wytrzymałością pancerzy i t. d. i t. d. Gdy wreszcie można było z powrotem wrócić na łono macierzy, inżynierowie niemieccy mogli wnieść najnowsze zdobycze wiedzy i uruchomić produkcję na wielką skalę.

Kombinacja ta miała, jak się okazało, jeszcze i tę ważną korzyść, że Niemcy nie mają zupełnie w chwili obecnej sprzętu przestarzałego, stanowiącegc balast wielu armii. W przyszłej wojnie decydująca nie będzie bowiem ilość samolotów, ale ich jakość, a przede wszystkim zdolności produkcyjne kraju.

Powagi wojskowe liczą się z tym, że w czasie wojny trzeba będzie w ciągu miesiąca pokrywać straty sięgające połowy ogólnej ilości samolotów. To też w razie wojny najsilniejsze będzie lotnictwo oparte o dostatecznie silną bazę przemysłową, ilość aparatów istniejąca w chwili rozpoczęcia wojny będzie grała stosunkowo mniejszą rolę.

Dzisiaj pod względem produkcyjnym Niemcy stoją prawdopodobnie na drugim miejscu w Europie po Rosji. 48 fabryk pracuje wyłącznie na budowę samolotów. Niektóre z nich to kolosy o olbrzymich możliwościach produkcyjnych. Taki naprzykład **Junkers** w samych tylko zakładach w Dreźnie zatrudnia 18 tysięcy robotników. Mimo intensywnego szkolenia fachowców, przemysł lotniczy skarży się stale na brak rąk do pracy. Wystarczy spojrzeć na tablicę oferowanych posad, wiszącą w hallu Politechniki w Charlottenburgu. Długi szereg firm potrzebuje od zaraz fachowców dla obróbki metali lekkich, konstruktorów silników spalinowych, płatowców i t. p.

Zresztą byle kto nie może dostać się do fabryki lotniczej. Nawet fabryki wyrabiające zasadniczo typy sportowe lub komunikacyjne są pilnie strzeżone. Straż z karabinami na ramieniu patroluje u wejść, całość terenów fabrycznych otoczona jest wysokim parkanem. Na drogach przecinających tereny fabryczne nie wolno zatrzymywać się samochodom. Personel fabryczny jest oczywiście zaprzysiężony, a za nieopatrzne słowo łatwo dostać się do obozu koncentracyjnego, lub poprostu otrzymać porcję ołowiu pod piąte żebro.

Wielkość produkcji samolotowej okryta jest oczywiście najściślejszą tajemnicą. Z pewnych jednak danych i analogii można otrzymać cyfry orientacyjne, prawdopodobnie niezbyt odbiegające od istotnego stanu rzeczy. Można mniej więcej przyjąć, że na początku 1936 roku produkowano około 800 samolotów miesięcznie, z czego połowę stanowiły samoloty bombowe.

Co się robi z tą ogromną produkcją, która w czasie pokoju nie jest dość szybko zużywana? Dużo wysyła się zagranicę, tak naprzykład Japonia ma przynajmniej połowę samolotów niemieckich. Taki hydroplan „Kawasaki" to Dornier z przed roku, Mitsubishi 93, to nic innego jak Junkres K37 podmalowany na barwy japońskie. Z krajów europejskich trzeba wymienić Szwajcarię, Szwecję i Norwegię, które przeważnie posługują się aparatami niemieckimi. Na rynku wewnętrznym aparaty lotnicze też znajdują zbyt. Samoloty wojskowe nie trudno użyć do celów utylitarnych. Bombowce mogą służyć od biedy jako samoloty transportowe, stąd gwałtowny rozwój komunikacyjnych linii lotniczych, przerastający istotne potrzeby kraju. Wszak powszechnie wiadomo, że Lufthansa jest napół zmilitaryzowana.

Większą jeszcze uwagę zwrócono na sport lotniczy. Jego ogromną zaletą jest to, że daje możność szkolenia kadr przyszłych pilotów wojskowych. Imprezy sportowe urządzane są nieraz pod wysokim protektoratem samego Führera, często będąc po prostu zadaniami strategicznymi, że wymienimy raid dokoła Zugspitze będący typowym zadaniem wywiadowczym, odbywającym się w bardzo trudnych warunkach terenowych i wymagającym od pilota maximum wysiłku.

Jeśli jednak dodamy ilość samolotów eksportowych do mniej lub więcej egzotycznych krajów do liczby, którą pochłaniają wewnętrzne potrzeby kraju, pozostanie ogromna nadwyżka produkcyjna. Coś w naszym rachunku się nie zgadza, część samolotów znika co miesiąc bez wieści. Nie-

znani piloci odlatują na nich w niewiadomym kierunku. Wielu z nich dociera obecnie aż do kwatery głównej w Burgos, większość jednak ma zadanie znacznie łatwiejsze. Mimo najściślejszej tajemnicy, którą sprawy te są pokrywane, coś niecoś przedostaje się do wiadomości publicznej, zwłaszcza zagranicą. W dniu rozpoczęcia wojny trzeba mieć pewną rezerwę produkcyjną, trzeba mieć poprostu pewną ilość aparatów na składzie, tak jak dobry kupiec robi zapasy przed spodziewanym sezonem dobrej koniunktury. Z tą tylko różnicą, że przy robieniu zapasów sprzętu wojennego sezon dobrej koniunktury, silnego popytu, łatwo samemu wywołać.

Otóż owa różnica między produkcją a zapotrzebowaniem idzie na skład. Częściowo zdemontowane, by zabierały mniej miejsca, aparaty gromadzone są w nowo zbudowanych hangarach, znajdujących się pod silną strażą wojskową. W jakim stopniu ściśle są wiadomości o budowie hangarów podziemnych wewnątrz kraju, trudno sprawdzić, że jednak takie hangary istnieją w miejscowościach nadbrzeżnych, pozwalając na bezpieczny i niezwracający uwagi start i lądowanie — zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Zresztą na brak zupełnie oficjalnych portów lotniczych Niemcy też nie mogą się uskarżać. **Deutsche Lufthansa** ma 124 lotniska, lotnisk o charakterze półwojskowym jest około 110, wreszcie 25 terenów specjalnie przystosowanych do lotów szybowcowych.

Trudno w tych krótkich uwagach zajmować się całokształtem organizacji lotnictwa i przemysłu lotniczego w Niemczech, których nici skupiają się w nowo otwartym wspaniałym gmachu na Leipzigerstrasse w Berlinie. Dwa olbrzymie złocone orły oparte na swastyce strzegą wejścia — to **Reichsluftfahrtministerium.**

Możemy tu stwierdzić tylko jedno: całokształt zagadnień związanych z lotnictwem podporządkowany został bardzo szerokiemu i na daleką metę obliczonemu **planowi.** Wystarczy spojrzeć na mapę rozmieszczenia fabryk samolotowych i lotnisk, które rozrzucone są po Niemczech w myśl, zapewne, w najdrobniejszych szczegółach opracowanego planu strategicznego. Pasy lotnisk i warsztatów wytwórczych nadmorskich i nadgranicznych mówią same za siebie.

Osiągnięcia dotychczasowe są bezwzględnie ogromne. Lotnictwo niemieckie to przykład na którym można się uczyć, jak wielkie wyniki może dać dostatecznie przemyślana, konsekwentnie i bezkompromisowo przeprowadzana akcja. Dziś jednak w planie tym zaznaczyła się poważna rysa: trudności finansowe i brak surowców. Jak Niemcy wyjdą z tej próby nie wiadomo, może najbliższe miesiące przyniosą poważne zmiany u naszego zachodniego sąsiada, a może stan obecny potrwa jeszcze długo.

Wszystko będzie zależało od postawy społeczeństwa niemieckiego. Od tego czy w pewnej chwili nie krzyknie ono, że ma dość zbrojeń, dość sycenia się narodowosocjalistyczną ideologią, że chce po prostu i spokojnie żyć, nie wyrażając swoich dążności twórczych przez budowę Junkersów i haubic. Lecz może być też inaczej: pod wpływem rosnącego ciśnienia wewnętrznego, pogarszających się warunków egzystencji, społeczeństwo to może przyśpieszyć pęknięcie w Europie bomby, której wybuch wywoła zawieruchę światową. (193)

KLUCZ POZYCJI*)

SZTURM NA BASTION SZKOLNY

Nie warto rozwijać wizji przyszłości, tego „albo" które nastąpi, jeśli w państwie polskim zwycięży i nadal dominować będzie statyzm, a co za tym idzie — stabilizacja na dzisiejszym lub nawet nieco wyższym poziomie. W najlepszym razie nie jest ona ciekawa dla nikogo. W najgorszym — wizję przyszłości daje nam nasza własna przeszłość.

Natomiast warto rozwinąć tę wizję przyszłości według której obrazu kształtować się będzie „nasze jutro", jeżeli potrafimy najlepiej i na najważniejszych odcinkach wygrać „nasze dziś".

Oto wizja przyszłości Naszego Jutra

W roku 1937 na decydujące czynniki oświatowo-wychowawcze, naukowe, intelektualne oraz dysponujące opinią publiczną w Polsce, przyszedł wspólny przebłysk zrozumienia spraw bezspornych i najważniejszych, które stanowią najgłębszą treść polskiej racji stanu. Nastąpiło jakby nagłe otrzeźwienie i zdynamizowanie umysłów, nawet i tych oczadziałych chaosem spleśniałych pojęć, dotąd tkwiących całkowicie w statycznym marazmie. Wszyscy wymienieni uświadomili sobie tak jasno jak jeszcze nigdy przedtym, że najpoważniejszym elementem państwa jest sam człowiek, i że naczelnym zadaniem wszystkich kategorii wychowawców, które staje się dla nich nakazem imperatywnym — jest tego człowieka najlepiej przystosować do życia w nowego typu zbiorowości, w twardych warunkach polskiego bytowania, a także uczynić go maksymalnie zdolnym do pracy twórczej bądź realizacyjnej pod kątem jasno zarysowanej hierarchii państwowych i narodowych konieczności.

W myśl takich założeń rozpoczęła się w Polsce wielka rewolucja myśli, wielka przebudowa zbiorowej i indywidualnej psychiki a zaczęto ją od decydującego ataku na klucz pozycji — wyższe uczelnie, szkoły średnie i centra dyspozycji myśli.

Najcięższą walkę stoczono ze szkołami akademickimi, przestawienie bowiem całego systemu ich pracy, z dotychczasowego — tradycjonalistycznego, a w wielkiej części poprostu przypadkowego i wogóle pozbawionego przewodniej myśli, na system nowy — dynamiczny i funkcjonalny, było rzeczą niezmiernie trudną. Niektóre uniwersytety nasze broniły się przed idącą wielką reformą nie mniej zajadle, niż miasto uniwersyteckie... Madrytu.

Każda wyższa uczelnia była broniona przed wielkim atakiem idącym z zewnątrz potrójną barykadą, która spełniała swoją rolę bardzo skutecznie, niezależnie od tego, czy atak ten był wynikiem bezmyślnej złości, czy też wychodził z najbardziej twórczych pobudek. Pierwszy szaniec — to normy ustawowe, nie pozwalające wywierać przez czynniki pozaszkolne omal żadnego wpływu na programy, system nauczania i system wychowania w szkołach wyższych. Drugi szaniec — to powaga i społeczny autorytet jakim jest otoczona każda wyższa uczelnia. Autorytet ten, nawet jeśli jest częściowo lub zupełnie niezasłużony, starannie podtrzymuje większość wychowanków, zwłaszcza tych mniej zdolnych, których autorytet osobisty skolei w wysokim stopniu uzależniony jest od autorytetu tej uczelni którą ukończyli. Trzeci szaniec — to poniekąd monopolistyczne stanowisko, które zajmują pedagodzy szkół wyższych, wobec wielkiego braku wybitniejszych sił przygotowanych naukowo w kraju oraz braku przygotowania dostatecznie licznych kadr młodych zastępców.

Do tych wszystkich nagromadzonych trudności doszła jeszcze jedna ogromna trudność, jaką stanowił brak możliwości porównawczych oraz brak organizacyjnych i programowych wzorów. Przebudowa wyższego szkolnictwa polskiego nie mogła ściśle naśladować najbardziej postępowych w tym czasie organizmów państwowych, ponieważ w stosunku do nich Polska miała ambicję stworzenia swej własnej oryginalnej doktryny wychowawczej i ustrojowej. Od tych więc państw można było brać tylko pewne fragmenty. Tymbardziej było zupełnie nieaktualnym naśladowanie grupy państw konserwatywnych, mogących sobie dziś jeszcze pozwolić na daleko idące zacofanie na wielu polach, ze względu na swoją ustabilizowaną potęgę i bogactwo.

Reformatorom pozostała więc jedyna droga — tworzenie systemu nauczania i wychowywania, wypływającego z oryginalnej myśli polskiej, i funkcjonalnie dopasowanego do niezależnej od nikogo polskiej linii rozwoju.

Pilnie badano statystykę. Analizowano przewidywane potrzeby organizmu państwowego, gospodarczego i społecznego Polski, nietylko w latach najbliższych ale i na lata dalsze. Nie zatrzymywano się tylko na faktach okresu dzisiejszego, ale wybiegano myślą śmiało naprzód na całe pokolenie i jeszcze dalej. Analizowano systemy wychowawcze Wschodu, Zachodu i Południa, a równocześnie rysowano wyraźną, śmiałą, zdecydowaną sylwetkę polskiego intelektualnego przodowniczego pracownika jutra. Zdecydowanie zrywano z takimi tradycjami i nawykami przeszłości, które stały się bez wartości dla przyszłości. Nie marnując bezmyślnie wszelkiego dotychczasowego realnego dorobku, który w sposób mniej lub bardziej przypadkowy w przeszłości się jednak nagromadził, bez wahania wyrzucono wszelkie bezwartościowe rupiecie. Równolegle ze stwarzaniem nowych elementów postępu w nauce i w nauczaniu, usuwano wszystkie elementy, które dla realizacji tego postępu dotychczas były przeszkodą. Zamykano jedne katedry a powoływano nowe. Kasowano, rozdzielano i tworzono nowe wydziały i uczelnie. Rozbudowywano nowe systemy i formy nauczania i wychowywania.

Zasadniczym posunięciem zarówno metodycznym jak i strukturalnym było rozdzielenie w szkolnictwie wyższym spraw czystej nauki od nauczania.

Przestano więc uważać uczelnie akademickie za świątynie wiedzy, uznano natomiast, że głównym ich celem jest dostarczenie krajowi dostatecznie licznych kadr fachowców, jaknajlepiej przygotowanych do czekających ich w życiu praktycznych zadań. W związku z tym zwrócono specjalną uwagę na praktyczność systemu studiów, jako też na umożliwienie młodzieży szybkiego kończenia nauki i wczesnego wchodzenia w życie, jeszcze ze świeżym i nieprzepracowanym umysłem. Pragnąc odciążyć młode umysły a jednocześnie ulżyć ciężkiej roli materialnej młodzieży, zmuszanej dotychczas zbyt długo i niepotrzebnie studiować — odrzucono jako balast wszystko co uznano za zbędne z punktu widzenia życiowej potrzeby, jako też wychowania doskonalszego człowieka. Aby zaś utrzymać wśród szerokiego ogółu zrozumienie dla teoretycznej wiedzy, zamiast jak dotychczas przeładowywać wszystkich studiujących niepotrzebną im nad-

*) Patrz Nr. 1 (6) „Zaczynu".

mierną ilością formuł, zwrócono główną uwagę na wychowanie tegoż ogółu w poszanowaniu i kulcie wyższej teorii, która decyduje o wszelkim postępie; zmuszono ich jednak do opanowania tylko teorii najniezbędniejszych i dających raczej podejście do dalszego samodzielnego studiowania, gdy to komuś okaże się potrzebne.

Przy tej sposobności zauważono, że oddano szerokim warstwom akademickiej młodzieży największą materialną usługę, gdyż przez skrócenie okresu praktycznego studiowania przeciętnie o 2 lata (gdyż z dotychczasowych 6—7 na 4—5) spowodowano zaoszczędzenie wydatków ogółu studiującej młodzieży i ich rodzin na sumę kilkakrotnie większą, niż wynosiła w latach poprzednich wartość wszystkich udzielanych akademikom stypendiów i innych form materialnej pomocy (niektórzy tę globalną oszczędność szacowali na zgórą 10 milionów złotych).

Równocześnie z upraktycznieniem i zracjonalizowaniem systemu nauczania, stworzono możliwie najdoskonalsze warunki dla rozwoju czystej nauki i dla masowego kształcenia pracowników naukowych bądź praktyków z kategorji zmuszonych do operowania w życiu większą sumą i wyższym poziomem teorii. Dla tego celu stworzono potężną i bardzo planową sieć wszelkiego rodzaju specjalnych instytutów, do których konsekwentnie wciągano z pośród ogółu studiującego na uczelniach wyższych jednostki, które przejawiały zdolności naukowe bądź realizacyjne na podłożu wyższej teorii. Przy najwybitniejszych naukowcach, odciążonych w dużej części od żmudnej dla nich pracy wykładania (w czym zastąpili ich docenci i asystenci obdarzeni odpowiednimi kwalifikacjami pedagogicznymi, których naukowcy często zupełnie nie posiadają) — wyrabiały się wielokrotnie liczniejsze niż dawniej kadry naukowców w charakterze docentów, starszych i młodszych asystentów oraz doktorantów.

Przy pozostawieniu placówkom naukowym niezbędnej swobody, zwrócono wielką uwagę na to, aby programy prac rozlicznych instytutów były jednak możliwie dopasowane do hierarchicznie najważniejszych w tym czasie potrzeb państwowych, wynikających z zarysowującego się planu państwowego.

Kadry profesorskie gruntownie odnowiono świeżymi siłami. Skwapliwie wyszukiwano w całym kraju, a nawet i poza jego granicami, jednostek, które bądź wykazały się swoim twórczym na teorii opartym dorobkiem, bądź też zabłysły swoim talentem. Postawiono, zwłaszcza w nowych dziedzinach nauk, nie tylko na związane z wiekiem doświadczenie, ale również i na dające się ocenić zdolności twórcze bądź pedagogiczno-wychowawcze. Uznano, że każda naprawdę wybitniejsza jednostka dla państwa i społeczeństwa częściowo się marnuje, jeżeli poza wszystkimi swoimi pracami, nie przekaże chociażby części swoich myśli i swojej wiedzy innym współobywatelom.

Nie mniej doniosłe reformy nastąpiły i w zakresie metody nauczania i organizacji studiów.

Zrozumiano, że w dziedzinie nauczania maksymalny efekt nie tylko naukowo-pedagogiczny, ale i wychowawczy, tylko wtedy można uzyskać, jeżeli się osiągnie doskonałą koordynację i planowe powiązanie przedmiotów i metod nauczania. Wszelka „naukowa swoboda" w tej dziedzinie, w konsekwencji często prowadząca do zupełnie nienaukowej dowolności i chaotyczności, została wreszcie należycie oceniona jako wyrządzająca ogromną szkodę uczącej się młodzieży, a jeszcze większą krzywdę państwu. Pełną wolność naukową pozostawiono pracy istotnie naukowej na terenie instytutów. Odtąd stało się dla każdego jasnym, że w dziedzinie nauki, a nauczania muszą obowiązywać zupełnie odmienne normy.

Planowość w systemie nauki na wyższych uczelniach i planowość w ich ogólnej strukturze i wewnętrznej organizacji, wywarła zasadniczy wpływ na całą mentalność nowego pokolenia akademików. Powoli zaczęła zanikać dawna chaotyczność myślenia polskiego „inteligenta", jego wybujały, niczym zresztą nieuzasadniony indywidualizm, brak metodyczności w myśleniu i systematyczności w pracy. Na to miejsce wyrosło poczucie potrzeby planowości i metody w każdej dziedzinie, nie tylko w nauce, ale i w całym życiu, począwszy od najniższych społecznych i gospodarczych komórek a skończywszy na nadrzędnym organicznym układzie jakim jest państwo.

Nowy system nauczania pozbawiony niepotrzebnego balastu zbyt trudnego do opanowania pamięciowego, wywarł również zbawienny wpływ na etyczne wychowanie młodzieży. System ten wymagający doskonałego opanowania rozumowego tylko niewielkiego, ale za to bardzo starannie i celowo dobranego materiału, nauczył młodzież solidnego i uczciwego podejścia tak do przełożonych i kontrolerów, jak i w odniesieniu do nakreślonych przez samych siebie zadań. Przez to system nauczania stał się częścią składową systemu wychowywania nowego człowieka o wyższym niż dotychczas poziomie etyki. Uświadomiono sobie bowiem, do jakiego stopnia system dawny wymagania od młodzieży rzeczy im niepotrzebnych a nadmiernie obciążających umysł, był systemem demoralizującym, gdyż w najlepszym razie wytwarzał mentalność „odwalania nikomu niepotrzebnych kawałków", a w najgorszym — powodował wykręcanie się od pracy wszelkimi sposobami, różnego rodzaju podstępy dla oszukania „pedagogów" oraz stwarzał podłoże dla obłudy w życiu.

Nie zapomniano i o drobnych poprawkach mogących mieć znaczenie wychowawcze. Przykładem takim było skasowanie t. zw. kwadransa akademickiego, który dotychczas w czasie studiów wyższych czynił to, że przyzwyczajonych do wzorowej punktualności absolwentów szkół średnich, przerabiał na „polską inteligencję z uniwersyteckim wykształceniem", nie wyobrażającą sobie jakiegokolwiek bądź terminu bez samo przez się rozumiejącego się conajmniej kwadransowego opóźnienia. Aby tym szybciej przyzwyczaić młodzież do ścisłego trzymania się terminów co do minuty, w tym okresie wzorem punktualności stali się sami wykładowcy.

Zwrócono wreszcie ogromną uwagę na selekcję młodzieży w całym szkolnictwie, przy czym zrobiono szczególnie wielki wysiłek najlepszego doboru ludzi do szkół wyższych. Wychodząc z założenia, że szkolnictwo państwowe bądź subwencjonowane przez państwo kosztuje zbyt drogo, aby w nim opłacało się kształcić jednostki poniżej średnich zdolności, wyeliminowano wszelkie miernoty z państwowego i półpaństwowego wyższego szkolnictwa, niezależnie od stosunków, którymi dysponowali ich rodzice. Ściągnięto natomiast do szkół wyższych, drogą stopniowego, bardzo starannego wyboru w całym szkolnictwie, a nawet i poza nim, jednostki przejawiające największe zdolności i życiową dzielność, w takim samym stopniu jak z warstw pracowników umysłowych, również z najszerszych warstw robotniczych i włościańskich, które dotychczas ze szkół akademickich prawie nie korzystały wcale, w tak znikomym bowiem procencie dzieci tej warstwy studiowały w stosunku do ogólnej masy.

W związku z powyższym zreformowano zupełnie pomoc dla młodzieży akademickiej. W nowym systemie pomoc tę oparto głównie na zasadzie wzajemności, polegającej na tym, że każda niezamożna ale zdolna jednostka, uzyskała odtąd możność otrzymania stypendiów na studia, z tym, że wszyscy stypendyści zostali zobowiązani, czy to w okresie studiów, czy to po ich ukończeniu, do odrobienia na każde wezwanie, określonej sumy bądź czasokresu pracy na określonym posterunku. Wobec równoczesnego uruchomienia wielkich prac gospodarczych i kulturalnych na wszystkich odcinkach, oraz ścisłego przystosowania szkół wyższych do potrzeb życia, studenci i absolwenci tych uczelni stali się elementem bardzo pożądanym, którego zatrudnienie całkowicie się skalkulowało.

Doskonale pomyślana, już przed tym odbywająca się reforma szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego, po oparciu się na ogólnym planie państwowym i po uzyskaniu świeżego dopływu na zupełnie nowych zasadach wykształconych i wychowanych młodych sił pedagogicznych, nabrała nowego życia. I dopiero odtąd reforma ta zaczęła dawać wyniki pełnowartościowe. Wyniki te nie tylko nie okazały się gorsze od oczekiwanych, lecz znacznie je przewyższyły. Nadwyżka ta była w wielkiej mierze zasługą zreformowanych studiów wyższych, tak, jak poprzednio one ponosiły odpowiedzialność za niemożność wykonania reformy szkolnej w całej pełni jak należy.

W taki to sposób, z pozornego chaosu reformatorskiego na terenie polskiego szkolnictwa zaczęła się wyłaniać nowa, jasna, zdecydowana, logiczna konstrukcja obdarzona najwyższą zdolnością do twórczej i realizacyjnej pracy, pod kątem interesu i dobra całości państwa. (123)

PALCEM PO MAPIE

Rok bieżący w polityce światowej rozpoczął się pod znakiem... hołdowania fikcji. Trzydniowe obrady parlamentu francuskiego, kiedy to w dniu 2 stycznia 1937 roku widniała na sali data 31 grudnia 1936 roku, aby zadośćuczynić formalnemu wymogowi uchwalenia budżetu przed Nowym Rokiem — stanowią doprawdy bardzo wymowny symbol rzeczywistości politycznej dzisiejszego świata.

W polityce światowej rozpanoszyła się na dobre swoista „polityczna dulszczyzna". W żadnej bodaj epoce zwalczające się nawzajem imperializmy nie nadużywały w tak skandalicznym stopniu wzniosłych haseł, jak dzieję się to obecnie.

Tym bardziej nie należy ulegać sugestiom werbalnych i protokularnych fikcji, lecz nieustannie zdawać sobie sprawę z realité des choses i stale demaskować sprężyny, działające pod tym, czy innym ideologicznym płaszczykiem.

Bowiem w powodzi „międzynarodowej", czy ultra-nacjonalistycznej frazeologii kryje się po prostu poczciwa stara racja stanu poszczególnych państw, zaś mocarstwa, które wcześniej od reszty świata doszły do zrozumienia swej roli dziejowej, używają swego potężnego aparatu propagandowego przede wszystkim w celu zamaskowania przed innymi... kolejnych etapów realizacji ich państwowych planów.

Tak, a nie inaczej należy rozumieć nawoływania do „solidarności europejskiej" oraz płomienne apele Moskwy do „ratowania demokracji przed faszyzmem".

A kryje się pod owymi hasłami w pierwszym wypadku — „czterolatka" niemiecka i ekspansja kolonialna Trzeciej Rzeszy — zaś w drugim: olbrzymie zbrojenia i ekspansja w każdym dogodnym w danym momencie kierunku, zaś przede wszystkim w stosunku do kontrahentów, osłabionych wewnętrznie i skłonnych do

wzięcia demokratyczno-kominternowskiego idealizmu na serio.

Jeśli chodzi o nas, to powyższe rozważania mają charakter wyłącznie teoretyczny. Kierownictwo polskiej polityki zagranicznej, jak mało kto w świecie zdaje sobie sprawę z realité des choses i nie ulega fikcjom. Może **właśnie dlatego** znajduje, niestety, tak mało zrozumienia we własnym społeczeństwie, które w olbrzymiej większości wciąż „daje się bujać" obcym agenturom, w dodatku czyni to niemal zawsze w najlepszej wierze i z... rzetelnych patriotycznych pobudek. Owa tragikomiczna niechęć wcale szerokich kół polskiego społeczeństwa, jeśli chodzi o zrozumienie naszej polityki zagranicznej jest najprawdopodobniej klasycznym przejawem świadomego, lub podświadomego oporu przeciwko wykonaniu **polskiego planu państwowego** w tej jedynej bodajże obok armii dziedzinie polskiego życia państwowego, w której plan ten istnieje w formie zasadniczo ukończonej, podczas gdy w pozostałych dziedzinach wciąż jeszcze operujemy krótkoterminowymi przeważnie prowizoriami.

Pierwszą jaskółką, potwierdzającą słuszność stosowania planu państwowego (w danym wypadku w polityce zagranicznej) stanowi uzyskanie po dłuższej przerwie pożyczki francuskiej, którą zawdzięczamy omal że wyłącznie realnej polityce, co bardzo słusznie podkreślili z trybuny sejmowej niemal wszyscy mówcy, zabierający głos z okazji debaty nad ratyfikacją pożyczki.

Poza tym — polityka nasza doprowadziła do bardzo korzystnej zamiany panującego nieprzerwanie „mariage d'amour", panującego pomiędzy Polską a Francją od r. 1925, od czasu zawarcia układów lokarneńskich z wyraźnym zlekceważeniem interesów Polski — na dwustronny „mariage de raison". Jeśli przy tej okazji odżyły serdeczne uczucia — tym lepiej.

Zagadkę stanowi jedynie jednomyślność, z jaką obie Izby parlamentu francuskiego pożyczkę tę uchwaliły. Stanowisko komunistów francuskich bardzo wyraźnie w danym wypadku odbiega od tonu prasy moskiewskiej, która od chwili powrotu Naczelnego Wodza z Francji — nie przestaje ubolewać, że „Francja udziela Polsce pomocy finansowej, nie otrzymując wzamian żadnych gwarancji politycznych" i nadal miota gromy potępienia na polską politykę zagraniczną, upierając się przy sfabrykowanej przez propagandę moskiewską i promoskiewską fikcji na temat „tajnego układu polsko-niemieckiego".

Fikcja ta przynosi być może w rozumieniu sowieckich władców pewne doraźne korzyści polityczne — ale na dalszą metę niewątpliwie zaszkodzi państwowym interesom naszego wschodniego sąsiada.

Jesteśmy wszakże dalecy od troski, o cudze sprawy i bynajmniej nie zamierzamy naśladować moskiewskich „Izwiestii", które, gwałtownie poszukując „przyjaciół w nieszczęściu" — ustawicznie straszą Francję i Anglię ekspansją niemiecko-włoską w Hiszpanii, Marokku i na Morzu Śródziemnym. Tego rodzaju podejrzana troska o interesy brytyjskie niesłychanie się w Moskwie wzmogła od czasu zawarcia angielsko-włoskiego gentleman agreement, a zwłaszcza od czasu opublikowania komentarzy włoskich, że słowa „status quo" oznaczają w rozumieniu włoskim... stan rzeczy z przed wojny domowej, a zatem usunięcie z Hiszpanii również czynnika moskiewskiego. Należy dodać, że tego rodzaju interpretacja nie napotkała na wyraźne sprzeciwy ze strony opinii angielskiej.

Drugim zaniepokojonym z tytułu gentleman agreement mocarstwem okazały się Niemcy, które w najbliższych dniach wysyłają do Włoch min. Goeringa, aby swymi potężnymi barkami podparł na wszelki wypadek „oś" pomiędzy Berlinem a Rzymem.

Naogół biorąc, świat w pierwszych dniach bieżącego roku jeszcze się nie rozhuśtał. Środek ciężkości wydarzeń w polityce międzynarodowej przesunął się nieco na południe, a mianowicie z półwyspu Pirenejskiego do Maroka, gdzie, bezstronnie mówiąc, niebardzo jeszcze wiadomo, czy mamy do czynienia z nieoficjalną okupacją niemiecką, czy też cała sprawa jest ciężko rozdmuchana przez czynniki „antyfaszystowskie". Z drugiej strony, komunikaty niemieckie, zapewniające, że wojsk niemieckich niema ani w Hiszpanii, ani w koloniach hiszpańskich są najoczywiściej obliczone na wielce łatwowierną publiczność.

W tych warunkach optymistyczne nastroje londyńskie, co do zaostrzenia kontroli nad nieinterwencją oraz przewidywania co do wygaśnięcia wojny domowej w Hiszpanii i ustalenia tam ustroju o charakterze antybolszewickim i antyfaszystowskim zarazem — wydają się grubo przedwczesne.

Jeśli zatem na półwyspie Pirenejskim nie widać żadnych realnych objawów odprężenia, o tyle parodniowa „neuralgia" na Bliskim Wschodzie powinna „rozejść się po kościach".

Pogłoski o rzekomych zamiarach zajęcia spornego sandżaku Alexandretty przez wojska tureckie nie sprawdziły się i wątpić należy, by Turcja miała jakikolwiek interes w stwarzaniu „faktów dokonanych", skoro osiągnęła bardzo wielkie sukcesy w drodze legalnej, czego dowodem choćby bardzo korzystne załatwienie sprawy cieśnin czarnomorskich na konferencji w Montreux.

Jak się okazuje w polityce zagranicznej, obok realizmu, można i należy postępować lojalnie i otwarcie.

W tym miejscu należy wspomnieć sentencję pewnego starozakonnego kupca, który całe życie twierdził, że... „najkorzystniejszym szwindlem jest absolutnie nieskazitelna uczciwość"... (66)

GŁOSY I ODGŁOSY

Pan A. Lubowidzki ciągle swoje...

Jesteśmy zwolennikami tego, aby kontrola społeczna dokonywana przez ideowych państwowców zwracała uwagę na nadużycia naszej biurokracji. Pan Antoni Lubowidzki, pomocnik skarbowy w stanie spoczynku, pisze w „Tygodniku Robotnika" z dn. 27. XII. 36 *po raz piąty*, co następuje:

„I. Za wieloletnie i wielomilionowe okradanie skarbu aresztowany w r. 1934 Paweł Michalski otrzymywał do sierpnia r. b. bezprawnie emeryturę.

Dopiero, kiedym wytknął przestano mu ją wypłacać, wytoczono sprawę dyscyplinarną i wydalono ze służby (20 listopada).

II. Ta filantropia na rachunek skarbu wobec najgorszego rabusia pochodziła stąd, że „nie jest on odosobnionym przestępcą, ale wyrazicielem systemu". Uzależnił on od siebie między innymi także 13-u dyrektorów izb skarbowych, co przejawiło się w żyrowaniu jego weksli, pomimo kilkuset kilometrów odległości między stolicą a siedzibami usłużnych żyrantów.

III. Większość z nich dotychczas dyryguje wymiarami i umorzeniami podatków. Jeden z tych dyrektorów gościł u siebie pana Pawła bezpośrednio po wypuszczeniu go z aresztu. Dziś ten wierny druh jest wiceministrem skarbu, a w przededniu wielkiej mowy ministra i on także zapewniał Polskę przez radio „że nieliczne wśród urzędników moralnie zdegenerowane jednostki usuwamy z całą bezwzględnością".

IV. Jednym z licznych dowodów... że po upadku Michalskiego polityka personalna nie zmieniła się, jest mianowanie dyrektorami izb p. p. Rzadkiewicza i Sieradzkiego. Obaj przestępstwa Michalskiego znali i ukrywali. Pierwszy dopuścił, że z pośród dowodów winy powycinano najdrastyczniejsze, a drugi, kiedy zażądano od niego wydania tych dowodów bronił się włoskim strajkiem i dopiero interwencja osobista u min. Zawadzkiego zmusiła go do ich wydania.

V. Szczęśliwym dla skarbu przypadkiem w r. 1933 dobrało się w izbie grodzkiej kilku urzędników patriotów. Pomimo licznych i wielkich przeszkód od góry i od dołu podnieśli oni o 22 proc. dochód z podatków bezpośrednich, ściągając je od najmożniejszych. Lewiatan postarał się, by tych właśnie gorliwców wypchnięto na prowincję, albo zmuszono do porzucenia służby skarbowej.

VI. Najgorliwszy z nich p. Jan Święszkowski, orzeczeniem lwowskiej komisji lekarskiej został uznany za niezdolnego do służby. Orzeczenie to zniosła komisja odwoławcza, a ministerstwo przyznało mu 500 zł. nagrody za wykrycie nadużyć w latach 1934 i 1935. Pomimo to pozostaje w stanie nieczynnym. Dla urzędnika, który z rąk geszefciarzy miliony ocalił skarbowi, skarb niema odpowiedniego zajęcia. Ba, dyr. Lubowicki uznał jego działalność za szkodliwą dla państwa. „Pań-

Ś. P. PROFESOR LEON WYCZÓŁKOWSKI

Kilka tygodni zaledwie nas dzieli od chwili, gdy wieść o śmierci profesora L. Wyczółkowskiego obiegła całą Polskę. Ubył naszej sztuce człowiek wielki, artysta o znaczeniu epokowym, mistrz barw i linij, który w ciągu swej olbrzymiej, sześćdziesięcioletniej twórczości był prekursorem i odkrywcą nowych idei plastycznych i wizji piękna. Wyczółkowski nie zasklepiał się w żadnej rutynie, zawsze czujny, entuzjastyczny, dla świata widzialnego odnajdywał wciąż inny wyraz malarski i graficzny, a zawsze szczytowy i świetny.

Talent przebogaty i wielostronny z równą łatwością władał pędzlem, jak pastelami lub kredką litograficzną, tworząc w każdej z tych technik z niedościgłym mistrzostwem i nieomylną pewnością ręki obrazy tak różnorodne w swym pięknie i urokach, jak różnorodny był świat nauczającej go polskiej rzeczywistości.

Wyczółkowski uczeń Gersona i Matejki, wyzbywa się rychło mroków pracownianego oświetlenia i sosów monachijskich, odkrywa bogactwo jasnych barw rozsłonecznionej natury i w latach 90-tych tworzy najpiękniejsze perły polskiego pleneru: „Rybaków", słynną „Orkę", lub „Kopanie buraków".

Rozumiejąc, może najbardziej w Polsce, dekoracyjną wartość koloru, Wyczółkowski posługiwał się nim, kierując się tylko wyczuciem rzetelnej artystycznej potrzeby. Zmienia też często zarówno paletę jak i sposoby kształtowania. Po okresie upojenia się jaskrawym światłem słonecznym, światłem złocistych czerwieni i głębokich fioletów, artysta po roku 1900 jakby się zbliża do naszej codzienności, do szarzyzny i mroków, do barw przełamanych w mglistej atmosferze i tworzy niezapomniany cykl gór i stawów tatrzańskich, widoki Krakowa („Okno wawelskie") i znakomite portrety, by w latach po roku 1910 z pasją kunsztownego dekoratorstwa rozjarzyć się ponownie w barwistych zestrojach kwiatów, motyli i przepysznych martwych natur.

Od roku 1914 artysta niemal wyłącznie poświęca się litografii, często barwnej i pozostawia bezcenne teki widoków Krakowa, Warszawy, Lublina, Poznania, Pomorza, wybrzeży Wisły, odwiecznych ostępów naszych puszcz z prastarymi dębami. Dzieła te nie tylko w Polsce, lecz i na całym świecie pozostaną na długo niedoścignionymi wzorami.

Nosił też w swej wielkiej duszy mit o Polsce wielkiej i niezależnej. Powodowany tą tęsknotą tworzy wspaniały cykl pastelowy realiów naszej przeszłości — insygniów, relikwij, grobowców, oręża, szat — w których wspaniałej migocącej fakturze zdają się drgać echa potęgi i niezawisłości dawnej Rzeczypospolitej. A gdy nadeszła chwila czynu, czas walk o wolną Polskę, widzimy go, 60-letniego, w Legionach — gdzie pełnił służbę po swojemu. Tak sen artysty wcielił sędziwy Wyczółkowski w rzeczywistość.

Trudno jest dzisiaj zdać sobie sprawę z całej wielkości czynu artystycznego i obywatelskiego zgasłego mistrza. Dopiero zbiorowa wystawa i naukowo opracowana biografia wykażą nam istotny ogrom pracy i skalę wysiłku artysty, który do ostatnich chwil życia zachował odkrywczą świeżość i młodzieńczy entuzjazm.

Twórczość Wyczółkowskiego była kontynuacją najświetniejszej tradycji naszej plastyki, torowanej wysiłkiem Michałowskich, Gierymskich i Podkowińskich; jest też zarazem jej najpiękniejszym uwieńczeniem. (238)

stwo" to chyba znaczy ludzie bogaci, których interesów bronić nawykł przez 4 lata p. Lub., jako naczelnik wydziału podatkowego izby przemysłowo-handlowej".

Bierzemy Mały Rocznik Statystyczny na 1935 r. (str. 241). Widzimy, że wpływy z podatku przemysłowego spadły w latach budżetowych 1931 — 1934 kolejno: 239 milion. zł., 197 milion. zł., 178 milion. zł., a raptem r. 1934/35 przynosi 184 milion. zł.; cyfry podatku dochodowego kształtują się odpowiednio 265, 196, 175 milion. zł., a w r. 1934/35 następuje wzrost do 194 milion. zł. i to odbywa się w okresie ogólnego spadku obrotów gospodarczych i osiągania „dna kryzysu". Coś tu nie jest w porządku! A może „Tydzień Robotnika" ma rację? Ciekawe, czy wymienieni przez p. Lubowidzkiego panowie skarżą „Tydzień Robotnika" o zniesławienie? „Tydzień Robotnika" twierdzi, że notatkę tę drukuje po raz piąty!

„Polityka Gospodarcza"

Wychodzi u nas redagowany w Podkowie Leśnej dwutygodnik pod nazwą *„Polityka Gospodarcza"*. Pismo to ma swoisty sposób nazywania gospodarki państwowej, a więc np.: „kryminalna konkurencja ze strony etatyzmu", „etatyzm anonimowy" i t. p. O udziale kapitału państwowego w szeregu przedsiębiorstw pisze się w tym piśmie z posmakiem skandalu i sensacji, jakgdyby ktoś zamordował 12 osób, lub miał 16 żon.

Oto w Nr. 28/29 *„Polityki Gospodarczej"* z dn. 15. XII. 36 r. osławiony p. Bernadzikiewicz, antyetatystyczna Kassandra, pisze:

„Można zaryzykować twierdzenie, iż niema w Polsce takiej komórki administracyjnej, nie wyłączając Najwyższej Izby Kontroli Państwa, któraby posiadała dokładną ewidencję przedsiębiorstw państwowych i zakładów o charakterze wytwórczym. Jest tak właśnie dlatego, że w zjawisku etatyzmu tak wielką gra rolę etatyzm anonimowy".

W oczach p. Bernadzikiewicza udział państwa w spółkach akcyjnych urasta do znaczenia jakiejś tak popularnej u nas „tajnej masonerii". A wszystkich tych spółek naliczył p. B. akurat 33, z czego 5 lokalnych kolejek, wydawnictwo... tygodnika „Polska Gospodarcza" i „Reklama Pocztowa" o kapitale zakładowym... 100.000 zł. My uważamy, że nasz t. zw. etatyzm jest raczej za skromny, a że źle on jest zorganizowany — to racja. I tu ma słuszność „Nowe Państwo Pracy", które w Nr. 1 z dn. 6 b. m. w artykule p. t. „O czym się nie mówi" pisze:

„Nie jest również przesadą, gdy powiemy, że walka z działalnością Państwa na polu gospodarczym, prowadzona jest nie tylko od zewnątrz, ale i od wewnątrz.

Przedsiębiorstwa państwowe można i od wewnątrz kompromitować, aby tylko uzyskać argumenty przeciw nim".

Racja. Nasze „sfery gospodarcze" nie zaniedbują i tej taktyki .Cała bezsensowna t. zw. komercjalizacja przedsiębiorstw państwowych i postawienie ich pod względem płacenia podatków na równej płaszczyźnie z przedsiębiorstwami prywatnymi, — to robota „myśli gospodarczej" tych sfer.

Zakaz przelotów.

„Temps" (z 8 stycznia) podając zarządzenie niemieckiego ministerstwa lotnictwa zabraniające przelotu samolotom cywilnym nad wielkim czworobokiem wzdłuż granicy polskiej opatruje go następującym komentarzem:

„po raz pierwszy długotrwały. ogólny zakaz przelotów został powzięty przez ministra lotnictwa dla terytorium dość rozległego.

Dotychczas zakazy przelotu dotyczyły prawie wyłącznie manifestacji narodowo - socjalistycznych, jak kongres w Norymberdze, święto zbiorów lub manewry wojskowe. Były ogłaszane tylko na czas określony.

Sądzą, że zakaz który został wydany ma ścisły cel wojskowy, jakim byłaby budowa fortyfikacji w okolicy zalesionej i bardzo urozmaiconej terenowo, leżącej między Odrą a granicą polską".

W dziesiątą rocznicę śmierci Rainera Marii Rilkego.

Les Nouvelles Littéraires uczciły tę datę szeregiem artykułów i wspomnień. Paweł Valéry pisze:

„Ten wielki poeta, jeden z najsławniejszych świata germańskiego, w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, był związany silnym pokrewieństwem z wyboru, z rasą słowiańską; miał głęboką znajomość Skandynawii, i w stronę zachodu, był tak bliski kultury francuskiej, że mogłem łatwo go naprowadzić na pisanie i wydawanie swych poezji w naszym języku".

„Stracić go. to stracić kogoś kto nie tylko łączył w sobie moc objęcia wszystkiego co Europa wydała najpiękniejszego i pogłębioną znajomość bogactw pochodzących z naszej różnorodności, ale który miał jeszcze tę zdolność przyjmowania wrażeń, już twórczą: ducha czasu przyszłego...".

„Rilke jest jednym z ludzi których najbardziej kochałem — mówi André Gide — i o których mogę najmniej powiedzieć. Cały się zamknął w swym dziele i, gdy otworzę jedną z jego książek, słyszę jego głos, widzę znowu ruchy, czuję wzrok jego i nie mogę w jego śmierć uwierzyć".

Maurice Betz, młody poeta który tłumaczył Rilkego na francuski, wspomina niezliczoną ilość listów, jaką Rilke był zasypywany. Odpowiadał na nie:

„Jest tylu ludzi — mówił — którzy czekają ode mnie nie bardzo wiem czego — pomocy, rady... Doświadczenia Malty zmuszają mnie niekiedy do odpowiedzi na te wołania nieznajomych, on by to zrobił... Zostawił mi niby w spadku działanie, któregobym nie umiał odwieść od litościwego przeznaczenia".

Edmond Jaloux w wielkim artykule przytacza między innymi słowa poety o jego sposobie pisania:

„Notuję wszystkie zdania, które mi przychodzą na myśl, wszystkie, nawet te które nie mają żadnego w tej chwili bezpośredniego znaczenia w moich oczach. Powoli znajdują miejsce w moim dziele. *Elegie* w które włożyłem doświadczenie mojej dojrzałości zostały przerwane przez wojnę. Powstała wtedy we mnie prawdziwa przepaść, która nie pozwoliła mi pisać w ciągu całych lat, ale któregoś dnia, odnalazłem swe życie tak jednolite pod tą przepaścią, że moje wiersze z przed wojny mogły znaleźć miejsce w Elegiach i złożyć się na ich całość".

Każdy człowiek, według Rilkego, ma odrębny rodzaj śmierci, dostosowany do jego charakteru i do najgłębszych dążeń ducha, zależny nie od przypadkowych okoliczności zewnętrznych, ale od jego wewnętrznej istoty, której się tamte podporządkowują. I Rilke nie uniknął prawidła. Nie chciał go unikać: w ostatnich swych dniach — opowiada E. Jaloux — odmawiał wszelkich lekarstw które mogłyby mu przeszkodzić w „jego własnej śmierci".

Przypomina ją Robert Pitrou:

„Umarł swoją własną śmiercią tak jak tego chciał któregoś dnia, czekając na przyjaciółkę, zrywa róże i kaleczy się w palec; skaleczenie to jest źródłem śmiertelnego zatrucia. Ma pięćdziesiąt i jeden lat".

Redakcja „Zaczynu" w imieniu przyjaciół i własnym przesyła wyrazy głębokiego współczucia rodzinie

Ś. P. GEN. BOLESŁAWA POPOWICZA

ILUSTRACJE DO DZIKICH PLOTEK O „ZACZYNIE"



„Szkoła mężów stanu" przy ul. Focha (w restauracji Langnera!?)

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10